

The background of the poster is a dark, atmospheric landscape. In the center, a small wooden church with a steeple is engulfed in bright orange and red flames. The church sits on a grassy hill. In the background, there are dark, silhouetted mountains under a heavy, greenish-grey sky with dark, swirling clouds. The overall mood is ominous and dramatic.

GRZEGORZ
BRUDNIK

ROTA

PRZYSIĘGA NA ŻYCIE ZWIASTUJE RYCHŁĄ ŚMIERĆ

FILIA

GRZEGORZ
BRUDNIK

ROTA

FILIA

*Żałuj góro, żałuj siostro
Obieśmy w żałobie
Ty za swymi liśćmi, góro
Ja za mą młodością.*

*Twoje liście, góro, siostro
Wrócą znów do ciebie
Moja młodość, góro, siostro
Nie wróci już nigdy.*

macedońska pieśń ludowa,
autor nieznany, tłumaczenie własne

PROLOG

Bam. Bam. Bam. Przedwojenna drewniana dzwonnica strażacka rozkołysała się i rozskrzypiała, gdy serce Świętego Andrzeja zabiło po raz pierwszy w tym roku. Bam. Bam. Bam. To dwóch mężczyzn szarpiających za konopne liny obudziło stary dzwon i przypomniało mu o jego obowiązku.

– Od powietrza, głodu, ognia i wojny... – zaśpiewał starzec głębokim, doniosłym basem, świadczącym, że gdyby w młodości skrzył w inną drogę, być może jesień życia spędzałby na wielkich estradach, a nie tu, w zapomnianej przez Boga beskidzkiej wsi.

– Wybaw nas, Panie! – odpowiedział tłum z pochodniami, które syczały wściekle, bo deszcz w końcówce listopada, zwłaszcza tu, osiemset metrów nad poziomem morza, nie był czymś wyjątkowym. Tamtej nocy też padało. W dziewięćdziesiątym piątym. Wśród zgromadzonych jednak niewielu było już z tych, którzy pamiętali. Właśnie dlatego trzeba było zrobić to, co zaraz miało się wydarzyć. Bo wieś musi pamiętać. Zwłaszcza ci nowi, którzy odziedziczyli dom i postanowili zamieszkać na ziemi swych przodków. Zwłaszcza oni musieli pamiętać, że Bóg ich obdarował, ale zażądał za to bardzo wysokiej ceny.

Młody mężczyzna, ubrany na czarno, bo widział kiedyś w amerykańskim filmie, że to pomaga ukryć się przed

wzrokiem ciekawskich, nie był tu u siebie. Niecałe dwie godziny temu udało mu się uniknąć blokady, tam, gdzie od wąskiej asfaltówki, splątanej z płynącym od Grabowej potokiem Hołcyna jak dwa węże w godach, odbijała gruntowa droga w lewo i mocno pod górę. Do wsi Świętego Andrzeja, najmniejszego sołectwa gminy wiejskiej Brenna. Wiedział, że tam, kilkaset metrów w górę zbocza, stoi w poprzek drogi traktor, a przy nim dwóch takich, co pilnowali, by tej nocy nikt nie dostał się na miejsce obrzędu. Jak co roku w noc Świętego Andrzeja. Dlatego poszedł inną drogą. Tą od Brennej. Stromą, dziką i błotnistą, która prowadziła do centrum wsi. Nikt nie mógł się go stamtąd spodziewać, ale na wszelki wypadek przeczekał w lesie godzinę i wyszedł dopiero, gdy tłum opuścił centralny plac wsi, ten, przy którym stoi dom sołtysa, i wzdłuż kolejnych stacji drogi krzyżowej ruszył na odległy o dwieście metrów szczyt Kazalnicy, gdzie stał kościół. On wówczas przycupnął za betonową płytą, ósmą z czternastu stacji. Dalej iść się nie odważył. Tam było zbyt wiele osób. A przecież stąd też dobrze wszystko widział. Tłum z pochodniami rozlewał się po zboczu ledwie sto metrów od niego. Kawałek wyżej, przed otwartymi drzwiami drewnianego kościoła stał ten, który intonował pieśń. On też miał w ręku pochodnię.

– Od nagłej i niespodziewanej śmierci...

– Zachowaj nas, Panie – odmruczał tłum.

Stali wyprostowani, a ogień z pochodni skwierczał nad ich głowami. Na pewno mężczyźni, ale zapewne i kobiety. Może nawet dzieci. Trudno było stwierdzić, bo wszyscy okryci byli czarnymi, wodoodpornymi pelerynami. Ale

w śpiewie niosącym się nad wsią rozbrzmiewały różne barwy i częstotliwości.

Nieproszony gość odważył się w końcu, wyjął telefon i zaczął nagrywać. Zebrani zajęci byli suplikacją, nikt nie zwracał na niego uwagi. Tylko jedna lampa rozświetlała tę część wsi. Ktoś musiałby się naprawdę postarać, by go dojrzeć. Ktoś musiałby wiedzieć, że on tam jest. Ta myśl dodała mu odwagi.

– My grzeszni Ciebie Boga prosimy. Przepuść nam, Panie.

I naraz mężczyzna na czele podniósł pochodnię wysoko nad głowę, machnął na znak krzyża, a potem cisnął nią w kierunku kościoła.

– My grzeszni Ciebie Boga prosimy. Wysłuchaj nas, Panie – huknął tłum, a zaraz potem w jednej chwili kolejne pochodnie poszybowały w górę i jak zagubiona na pustkowiu kolonia świetlików ponakłuwały nocne niebo ognistymi punkcikami. Trwało to chwilę. Mężczyzna schowany za stacją pomyślał nawet, że coś dziwnego stało się z czasem, bo to przecież niemożliwe, by rozpalone drzewce wisiały w powietrzu tak długo. Ale w końcu stało się to, co musiało się stać. Przewodnik stada zamigotał, zasyczał i opadł w dół na bryłę kościoła, a potem za nim podążyła reszta.

– My grzeszni Ciebie Boga prosimy. Zmiłuj się nad nami.

I naraz więźbę rozerwał powstający z kolan ognisty potwór. Chwilę zbierał siły, a potem wyskoczył w górę, jak wojownik szykujący się do decydującego starcia. Napiął wszystkie mięśnie, odchylił głowę i ryknął wściekle. Tłum cofnął się o krok.

Bam. Bam. Bam – zawodził Święty Andrzej.

– Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!

Pogasyły ostatnie gwiazdy, jakie jeszcze się uchowały na zachmurzonym niebie. Bóg nie był chyba zadowolony z tego, co mu ofiarowano, bo odepchnął od siebie dar, a dym zamiast w górę, wprost do nieba, pod butem inwersji pełzł teraz w dół zbocza, wdzierał się pomiędzy domy, zaglądał przez okna i pukał do drzwi.

Bam. Bam. Bam – zawodził Święty Andrzej. Serce w piersi mężczyzny ubranego na czarno biło teraz w rytm serca dzwonu. Czyżby jego ciało wpadło w rezonans? Bo poczuł nagle, jak amplituda drgań rozrywa mu żebra. Nie! To nie dźwięk!

To ciężki but o stalowym czubku.

To mężczyzna o złych oczach.

To dwóch kolejnych.

To jeszcze trzech.

To kolejni zbiegający w dół zbocza.

To krzyki. To uderzenia. W żebra. W brzuch. W twarz.

Bam. Bam. Bam.

Usiłował się osłonić przed napastnikami, tymczasem dookoła narastał krzyk. Skulony na ziemi mężczyzna nie potrafił rozróżnić słów. Były tam chyba przekleństwa. Były tam chyba groźby. Telefon już dawno wypadł mu z ręki, a but z metalowym czubem zdeptał go z niemal nabożną czcią.

I wtedy pierwszy raz naszła go myśl, że może tego nie przeżyć. Agresorów było coraz więcej, a każdy kolejny chciał się koniecznie zapisać na jednej z ostatnich kartek wyblakłego już kalendarza na kończący się dwa tysiące dwudziesty

pierwszy rok. Każdy chciał mieć swój udział w tej historii. Każdy chciał zadać cios. Mężczyzna widział coraz mniej, ale pojawiali się coraz starsi ludzie, pojawiały się kobiety, pojawiały się dzieci. A mimo to nikt nie powstrzymał tej masakry.

Nikt, prócz niej.

– Zostawcie! Co robicie?! – krzyknęła i choć tłum kleił ją do siebie, choć falował, by zagrozić jej drogę, choć ten i ów wyciągnął w jej kierunku dłoń, ona w końcu wystąpiła z szeregu i skoczyła w kierunku napastników. Widział ją przez chwilę. Gdy biegła, wiatr zwał jej kaptur i pochwycił długie, jasne, niemal zupełnie białe włosy.

– Co robicie? – krzyczała.

– Nie wtrącaj się – warknął ten, który miał buty z metalowym czubkiem. – To nie twoja sprawa.

– Zabijecie go, idioci!

– Nie wtrącaj się, Ulka! – powtórzył tamten, bardziej agresywnym tonem.

– Spierdalaj! – wrzasnęła w jego kierunku, a potem przecisnęła się przez krąg agresorów. Odstąpili, jakby niosła ze sobą tego rodzaju energię, która nie pozwala na stawienie jej oporu. Dziewczyna przypadła do leżącego w kałuży krwi mężczyzny. Jej włosy uderzyły go w twarz. Nakryła go nimi jak Danusia nąteczką swojego Zbyszka.

– Już dobrze – wyszeptwała. – Spokojnie. Zajmę się tobą.

A on zasypiał już wprawdzie, ale zdążył jeszcze pomyśleć, że w ramionach tego anioła mógłby spać przez całą wieczność. A potem jeszcze coś mu przyszło do głowy. Że bardzo chciałby się obudzić, by móc poznać tę dziewczynę.

ROZDZIAŁ 1

TRZYSTA SZEŚCDZIESIĄT TRZY DNI PÓŹNIEJ

Dzień 1

Siedziała nago, z kolanami pod brodą. „Nie garb się”. Ileż razy słyszała to z ust mamy? Zawsze jej słuchała, może dlatego w swych najwspanialszych latach była wysoka, wyprężona jak struna i tak bardzo przyciągała spojrzenia mężczyzn. Ale mamusia od dawna nie żyła, a Łezka nie była już młoda. Miała pięćdziesiąt sześć lat, a czuła się na przynajmniej dziesięć więcej. Bynajmniej nie fizycznie, co to to nie. Wydolnością i siłą zawstydzała nie tylko młodsze koleżanki, ale i kolegów. Potrafiła bez wysiłku dźwignąć sto kilo w martwym ciągu, choć każdy, kto by na nią spojrział, uznałby, że taka wysuszona chudzina powinna się złamać pod dużo mniejszym ciężarem. Kto nie docenił Łezki, ten zawsze potem żałował. Ale teraz, gdy tak siedziała tuż przed świtem, popijając zieloną herbatę, sama sobie zdawała się słaba i bezbronna. Zabrakło matczynej rady, więc plecy wygięły jej się w łuk. Udami dociskała piersi do klatki. Naprawdę ładne. Tyle jej jeszcze zostało z dawnej urody.

Jeszcze.

Wyprostowała się i nakryła je dłońmi. Będzie za nimi tęskniła.

Czy to łza popłynęła po jej policzku?

Minęła ósma trzydzieści. Kończył się wprawdzie listopad, ale to wciąż nie powód, by było tak ciemno. Okna miała w sypialni dwa i były ogromne. A mimo to, gdyby nie blade światło lampy stojącej na podłodze koło łóżka, nie widziałaby portretu wiszącego na ścianie. Jej portretu. A właściwie aktu, namalowanego przez Teklę Minge, malarkę, która światowy rozgłos zdobyła chwilę po sześćdziesiątce, dowodząc wszystkim, w tym i Łezce, że wiek to naprawdę tylko liczba.

Długo się wahała. Odmawiała Tekli przez trzy miesiące, ale kiedy artysta poczuje wenę, potrafi być bardzo przekonujący. A ściślej mówiąc, upierdliwy. Teraz Łezka patrzyła na swój portret i musiała przyznać, że był bardzo udany. I naprawdę pięknie się na nim prezentowała. A przecież Tekla namalowała ją bez upiększania. Najpierw zrobiły sesję zdjęciową, w trakcie której Łezka prawie zemdląła z zażenowania. Jednak wprawne oko Tekli, a także to, że w gruncie rzeczy bardzo były do siebie podobne i szybko złapały dobry kontakt, sprawiło, że ostatecznie sesja wyszła na tyle dobrze, że dało się na jej podstawie namalować portret.

Łezka popłakała się, gdy pierwszy raz spojrzała na płótno.

– Piękne, prawda? To piękno wciąż w tobie jest, Kasiu – powiedziała jej wtedy malarka. Miała paskudny zwyczaj zwracania się do ludzi po imieniu. Nawet takich, którzy sami swojego imienia prawie nie pamiętali.

Coś miękkiego otarło się o jej udo.

– No? Skomentuj to jakoś – poprosiła, ale Luluś, pu-chaty, szarobury grubasek odburknął coś tylko, smyrając ją wibrysami. Zapewne o tym, że jeszcze nie dostał śniadania.

Tamtej pamiętnej nocy, gdy opuścił ich Lichy, zdawało jej się, że Luluś coś do niej mówił. Nie przywiązywała do tego uwagi, bo to przecież niemożliwe, ale Tekla powiedziała jej, że Lichy ciągle rozmawiał ze swoim psem. Myślał, że ona o tym nie wie, ale przed Teklą nic się nie ukryło. No i oczywiście zasiała w Łezce wątpliwości. W Łezce, najbardziej racjonalnej kobiecie w całym uniwersum ludzkości.

Co ten nieszczęsny kot jej wtedy mówił? Że jest tym, co w niej najlepsze, i odzywa się tylko wtedy, gdy ona naprawdę go potrzebuje.

– Kiedy potrzebowałam cię bardziej niż teraz? – zapytała z wyrzutem.

Odpowiedział jej dzwonek komórki. To by było na tyle w kwestii realizmu magicznego. Spojrzała na wyświetlacz i westchnęła. Dzwonił Kwaśnica.

– Co jest, szefie? – rzuciła do słuchawki.

– Łezka, wierzysz w duchy? – zapytał podinspektor Janusz Kwaśnica, Komendant Miejski Policji w Bielsku-Białej.

– Nie? – Zaintonowała odpowiedź, jakby sama zadawała pytanie, bo nie miała wątpliwości, że należą jej się wyjaśnienia.

– To świetnie. Bo ja też nie. Ale Czesiu chyba tak. Udaj się na dolną stację kolei linowej na Szyndzielnię. Masz tam dwa trupy w wagoniku.

– I co?

– I Czesiu twierdzi, że to podwójne zabójstwo, tylko problem w tym, że nie wiadomo, jakim cudem ktoś mógłby to zrobić. Wszystko opowie ci na miejscu.

– Dobra, to się zbieram.

– Łezka... – zaczął komendant w ten szczególny sposób, gdy człowiek ma do przekazania wiadomość, która nie spodoba się odbiorcy.

– No mów.

– Będziesz miała partnera.

– Nawet tak nie żartuj. Wiesz, że pracuję sama.

– A ty wiesz, że to sprzeczne z regulaminem.

– Szefie.

– Bez dyskusji.

Zapadła chwila ciszy. Łezka szanowała Kwaśnicę. I nawet go lubiła. Ale co z tego, skoro dzieliła ich ta nigdy niewypowiedziana, a mimo to wielokrotnie wybrzmiewająca między słowami kwestia szarży. On był komendantem ze znacznie wyższym niż ona stopniem zaszeręgowania, ale ona wyprzedzała go aż o dwa stopnie służbowe. Każdy w komendzie wiedział, że to ona powinna być komendantem. I że byłaby nim, gdyby tylko chciała. Ale odmówiła. Kwaśnica, choć oczywiście udawał, że nie, skądże znowu, absolutnie, to jednak miał z tym pewien problem. I ten problem zwykle objawiał się w sytuacjach takich, jak ta. Gdy trzeba było zaburzyć tę delikatną synergię, którą sobie w ostatnich latach wypracowali.

– Posłuchaj – powiedział spokojnie, bo naprawdę ostatnim, czego potrzebował, był konflikt z jego najlepszą

śledczą. – W piątek masz zabieg. Wątpię, byś zdążyła to wszystko poskładać, ale chociaż zacznij, dobrze? A partnerem się nie przejmuj. To gość. Jest u nas przelotem.

– Przelotem? – Łezka się zdziwiła.

– Pogadacie sobie na miejscu. I pośpiesz się. Prokurator też już tam jedzie. Lepiej, żeby na ciebie nie czekał.

– Kto?

Kwaśnica nie odpowiedział.

– Ja pier... – Westchnęła.

– Nie marudź już, proszę cię. Prokuratora się nie wybiera.

Wiedziała, kto to będzie. Jazgot. Facet, którego nazwisko tak dobrze oddawało jego osobowość. Jej osobisty wróg, tak chyba mogła powiedzieć. Nigdy nie doszła do tego, dlaczego Jazgot nią pogardzał. Przypuszczała, że miało to jakiś związek z jej płcią. W każdym razie sposób, w jaki ją traktował, wzbudzał niezadowolenie nawet tych funkcjonariuszy, którzy jej po prostu nie lubili. A prawda jest taka, że było takich wielu. Ot, ciężka dola jednostek wybitnych. No i oczywiście niezadowolenie niezadowoleniem, ale jak przyszło co do czego, nikt nic nie zrobił. Bo Jazgot był niezwykle mściwy i każdy w mieście doskonale o tym wiedział.

Ubrała się i opuściła swoją kamienicę przy Sempołowskiej. Kamienica była niewielka, ale za to w całości należała do niej. Jedyne wspomnienie po ojcu, peerelowskim aparaczyku. Nawet nie chciała wiedzieć, na czym się dorobił, by zadbać o swoją kochaną jedynaczkę. Suterene i parter wynajmowała dwóm lokalnym firmom. Pierwsze i drugie piętro stanowiły jej królestwo. Połączyła je w jedno mieszkanie. Nie

było to gniazdko jej marzeń. Trzeba było wysoko wchodzić, układ pomieszczeń też pozostawiał wiele do życzenia, ale cóż, miała coś swojego, a wszelkie niezbędne opłaty pokrywała za pieniądze od najemców i jeszcze jej niemało zostało. Tylko te schody. Choć wciąż była w dobrej formie, przyłapywała się na tym, że niekiedy nie chciało jej się iść do sklepu, bo zniechęcała ją perspektywa wdrapywania się po nich w drodze powrotnej. Często więc odkładała zakupy na kolejny dzień.

Na zewnątrz było zimno. Może nawet panował mróz. Skóra szczypała, ale bardziej szczypało ją w nosie. Sąsiad, stary Wieczorek, znów palił jakimś gównem, całkowicie niezrażony karą, jaką ostatnio zapłacił. Ale Łezce ten smród nie przeszkadzał. Czuła go całe życie. Wieczorek zawsze palił tym samym. Tylko dawniej nikt na to nie zwracał uwagi. Dla niej tak właśnie pachniała zima.

Wyjaśniło się za to, dlaczego było tak ciemno. Ogromny, stalowy gigant wisiał nisko nad miastem, całkowicie przesłaniając rozleniwione słońce. Wyglądał, jakby miał na coś alergię. Może na Wieczorkowe spaliny? A może po prostu na świat. Był spuchnięty do granic możliwości i jedno było pewne – jego spalone cielsko w końcu eksploduje. A wówczas uwolni to, co w sobie kumuluje, i bez cienia wątpliwości Bielsko-Białą znów czeka tygodniowa śnieżycą, jedna z tych, które zamykają szkoły i biura, więżą w zajezdniach autobusy, a u ludzi wzbudzają potrzebę, by ostatkiem sił rzucać się na okoliczne dyskonty, wykupywać cukier, masło, srajtaśmę i co tam w godzinie kłęski może się jeszcze przydać. I ten czas nadchodził. Alerty RCB

rozbrzmiewały już od wczoraj. Na razie jednak ulice ścieliła rdzawa papka utkana przez wiatr ze zgniłych resztek liści i wszechobecnego błota. Kiepsko się po tym jechało.

Jej jeep wrangler miał już dziesięć lat i widać było, że większość z tego czasu spędził w pracy. Ogromne koła robiły wrażenie, karoseria już trochę mniej. Zdecydowanie wymagała odświeżenia, szczególnie że Łezka nieraz puknęła tu i otarła ówdzie. Niemniej to auto było jednym z jej najlepszych zakupów i choć męczyła się, jeżdżąc nim w trasy, to do szwendaczki po okolicznych górach nadawało się idealnie. Głęboki bieżnik nie wymagał dodatkowych łańcuchów i Łezka była w stanie wjechać wszędzie, gdzie potrzebowała.

Droga do Olszówki przebiegła tak spokojnie, że niemal jej nie zarejestrowała. Dopiero na zjeździe z ronda w aleję Armii Krajowej pojawiły się pierwsze zakłócenia. Był tam zakaz wjazdu, który zwykle nie dotyczył jedynie autobusów, ale dziś nic już nie mogło tamtędy przejechać, bo drogę rozkopano i niewiele wskazywało na to, że remont zakończy się przed zimą. A mimo to, w poprzek drogi stał radiowóz z włączonym silnikiem i migającymi na niebiesko światłami. Na widok nadjeżdżającego wranglera kierowca wycofał się, bo każdy w okolicy znał Łezkę i jej samochód. Ale i tak się zatrzymała. Machał do niej młodszy aspirant Sońta, jeden z tych nielicznych, o których miała jako tako dobre zdanie.

– Dzień dobry, pani inspektor – przywitał ją z uśmiechem, zupełnie jakby nie pilnował jedynego dojazdu do miejsca, gdzie odnaleziono dwa trupy.

– Co jest, Sońta?
– Wiesz, kto tam na ciebie czeka?
– Jazgot. – Niemal wypłuła z siebie to słowo.
– Chuj z Jazgotem. Twój nowy partner.
– Całe miasto już wie?
– A jak. Wiesz, kto to jest?
– Nie. Kto?
– Naprawdę nie wiesz? Gazda.
– Gazda? Z tych Gazdów?
– Dokładnie z tych. Synalek tatusia. Uważaj na niego, Łezka.

– Lepiej niech on uważa.
– W ciągu trzech lat przenoszą go już szósty raz. Wiesz, co to oznacza. Podobno jest strasznym bucem. Klasyczny karierowicz. Sto procent koneksji, zero procent fachowości. Mówię ci, uważaj.

– Dzięki, Sońta.

Został jej do przejechania kilometr. Minęła charakterystyczną wiatę przystankową na pętli autobusowej, zignorowała nakaz skrętu w prawo i, mijając wyeksponowany na wysięgniku historyczny wagonik kolejki linowej, pojechała wprost pod dolną stację.

A tam już wszystko migało na niebiesko i ciężko nawet było gdziekolwiek zaparkować. W końcu stanęła w jedynym wolnym miejscu, blokując przy tym schody do WC, ale kto by się tym teraz przejmował.

Kawałek dalej, oparty o zdecydowanie zbyt luksusowe jak na policjanta volvo, stał mężczyzna w czarnym płaszczu. Palił

ZIMA, BESKID ŚLĄSKI.

Dlaczego każdego roku płonie kościół na zboczu Kotarza?

**Dlaczego zamordowano dwoje ludzi w wagoniku
kolejki linowej na Szyndzielnię?**

I co najważniejsze: jak?

Inspektor Katarzyna Łezka wraz z nowym
partnerem, znienawidzonym przez wszystkich
podkomisarzem Michałem Gazdą, ścigają się
z czasem i nadciągającą śnieżycą.

Czyje tajemnice uda się ujawnić?

Które uda się ocalić?

Kto swoje zabierze do grobu?

**ZEGAR TYKA, PADA GĘSTY ŚNIEG,
BESKIDY OTULA CORAZ GĘSTSZY MROK.**

**Pierwszy miejsko-górski kryminał noir Grzegorza Brudnika,
autora bestsellerowej serii z komisarzem Rafałem Lichym.**

cena 49,90 zł

FILIA

Mroczna

